

ANTYSPÓŁDZIELCZY NEOFITYZM

Wśród śmiertelnych wrogów spółdzielczości mieszkaniowej można spotkać aż nazbyt często byłych ich prezesów, którzy zostali burmistrzami lub prezydentami miast. Są oni szczególnie niebezpieczni nie tylko dla członków spółdzielni, ale również interesów samorządów, których rozwój jest w ich rękach. Z jednej strony bez skrupułów przerzucają koszty utrzymania infrastruktury miejskiej na spółdzielnie, a z drugiej na różne sposoby uderzają w podstawy ich rozwoju i funkcjonowania.

Neofickie baty

Skąd ten antyspółdzielczy neofityzm się w nich bierze? Niestety, nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Raz zdradza go doraźny interes, innym razem chęć zawłaszczenia najatrakcyjniejszych nieruchomości spółdzielczych, to znów uwikłania korupcyjne z tak zwanymi inwestorami, a nawet pycha i skrajny egoizm. Krótko mówiąc antyspółdzielczy neofityzm ma niejedną imię. Oburzające jest to, że ludzie których spółdzielczość wyniosła do piastowania najwyższych godności w samorządach, teraz chcą ją z rozdeptać z zacięłością inkwizytorów.

Przykładów jest aż nadto, jak byli prezesi, jako burmistrzowie lub prezydenci miast, nie mają skrupułów w przerzucaniu ciężaru w utrzymaniu terenów zielonych, w tym pielęgnowaniu drzew i krzewów, placów zabaw dla dzieci, piaskownic, boisk do piłki nożnej, piłki ręcznej, piłki siatkowej, koszykówki, ławek wypoczynkowych, pergoli śmietnikowych, koszy na śmieci, zarządzają drogami i chodnikami, w tym je odśnieżają, wykładają pieniądze na oświetlenie ulic osiedlowych, prowadzą domy kultury itd. na spółdzielnie mieszkaniowe. Czynią to z premedytacją i wyrachowaniem. Nie obchodzi ich, że spółdzielcy są takimi samymi podatnikami, jak mieszkańcy osiedli i bloków deweloperskich, że płacą podatki solidniej niż inni, że udostępniają bezinteresownie własną przestrzeń publiczną, którą mogliby ogrodzić płotem z drutu kolczastego, całemu społeczeństwu. Zdają sobie bowiem sprawę z tego, że na spółdzielnię domagającą się od władz miasta wywiązania się ze swych powinności, jest mnóstwo batów, aby przywołać ją do posłuszeństwa. Idealnie do tego nadaje się zideologizowane o wiele bardziej niż w czasach Polski Ludowej antyspółdzielcze prawo.

Prawa większość

Powoli jednak do członków spółdzielni mieszkaniowych zaczyna docierać, że są traktowani jako obywatele drugiej albo trzeciej kategorii nie tylko przez państwo ale i samorządy, że osobom lansującym likwidację spółdzielni mieszkaniowych i utworzenie w ich miejsce wspólnot mieszkaniowych nie chodzi o tzw. uwłaszczenie spółdzielców co głoszą ale o ich mieszkania w blokach, która dzięki koślawemu prawu będzie można łatwo zagarnąć po likwidacji spółdzielni mieszkaniowych. Zaczynają rozumieć, że rzekomi ich dobrodzieje, to pospolici złodzieje przebrani w szaty tzw. patriotów, posłów i senatorów, lobbystów, doradców, różnej maści autorytetów, prawników, biznesmenów itp.

Niestety, niektórzy prezesi spółdzielni widząc hordy potencjalnych grabieżców majątku spółdzielczego zaczynają się zastanawiać czy nie przyłączyć się do tej hołoty różnej maści złodziei, by w tym rozgrabianiu mieć swój udział. Do tego mają krzepiące bezkarnością przykłady swych kolegów burmistrzów lub prezydentów miast. Pokusa jest tym większa, bo wielka hucpa na majątku spółdzielczym ma się odbyć w majestacie prawa.

Na szczęście takich prezesów spółdzielni mieszkaniowej jest niewielu. Większość z nich bowiem to ludzie prawi, oddani pracy zawodowej, posłannictwu spółdzielczemu i służbie społecznej. Często nie korzystają z bardzo atrakcyjnych prestiżowo i finansowo ofert pracy w zarządach spółek, by być wiernym swym przekonaniom, zasadom i posłannictwu spółdzielczemu. Wolą być niesłusznie atakowani i pomawiani niż przejść na stronę antyspółdzielczego lobby. Wolą zostać strażnikami majątku niezamożnych rodzin niż przyłączyć się do reprezentantów i wysłanników wielkiego kapitału chcącego na miejscu spółdzielczych blokowisk w centrach takich miast jak Warszawa, Kraków, Wrocław, Trójmiasto wybudować biurowce, apartamentowce i galerie handlowe. Wolą bronić majątku spółdzielczego niż iść na podejrzane układy z burmistrzami lub prezydentami miast. Pamiętają, że w spółdzielniach mieszkaniowych mieszkają ludzie o niskich dochodach, w tym emeryci. Zdają sobie sprawę, że większość tych ludzi zrzeszonych we wspólnotach mieszkaniowych, przy wzrastających ciągłych kosztach utrzymania i eksploatacji mieszkań, stanie się niewypłacalna i utraci swoje mieszkania, że stanie się bezdomnymi.

W sidłach grzechu pychy

Burmistrzowie lub prezydenci miast, którzy kiedyś byli prezesami spółdzielni mieszkaniowych mogliby bardzo wiele nauczyć się właśnie od nich, ludzi oddanych sprawie, której służą, a nie być antyspółdzielczymi neofitami. Tym bardziej, że represyjny i niesprawiedliwy sposób traktowania przez państwo i samorządy spółdzielców jest wręcz gorszący.

Wolą jednak na swój sposób niszczyć spółdzielczość. Pasożytować na niej. Czynią to tym bardziej skutecznie od innych burmistrzów i prezydentów, gdyż struktury spółdzielcze znają na wylot i wiedzą o każdym ich słabym punkcie, w szczególności jak przerzucić na nie koszty zadań samorządowych, które powinny być pokrywane z budżetu miasta.

Do tego często popełniają grzech pychy. Niejednokrotnie mając kwalifikacje co najwyżej kierownika osiedla chcą uchodzić za cudotwórców, którzy wytyczają miastom nowe drogi rozwoju.

No i są bezwzględnyimi hipokrytami. Za fakt ponoszenia nadmiernych obciążeń związanych z utrzymanie przestrzeni publicznej należących do spółdzielni obciążają bowiem... Spółdzielnie Mieszkaniowe, które nie przekazują miastu swych terenów po obrysie wokół domów (sic!). I wyrażają ubolewanie, że przez opieszałość prezesów w tym zakresie, nie może traktować osiedli spółdzielczych tak, jak pozostałej części miasta, czyli np.łożyć na odśnieżanie ulic pozostających w rękach spółdzielni oraz pokrywać koszty ich oświetlenia.

Jak daleko idą w samozakłamanie najlepiej świadczy przykład burmistrza (prezydenta miasta), który jako prezes spółdzielni otrzymywał środki finansowe od miasta na utrzymanie części miejskiej dróg, chodników, zieleni, placów zabaw itp. na osiedlu spółdzielczym. Umowa była tak skonstruowana, że pieniędzy tych starczało również na utrzymanie przestrzeni publicznej należącej do spółdzielni. Stał za nią burmistrz (prezydent miasta), który nie miał nic wspólnego ze spółdzielczością, chciał być tylko przyzwoitym człowiekiem. Jednak kiedy prezes tej spółdzielni przejął władzę w mieście, to w pierwszej kolejności wypowiedział tą umowę i zmusił swoją dawną spółdzielnię do maksymalnego finansowania utrzymania przestrzeni publicznej na osiedlu spółdzielczym, również w części należącej do miasta.

Epilog

Przykład antyspółdzielczych neofitów jeszcze raz potwierdza słuszność powiedzenia: Boże

chroń nas przed fałszywymi przyjaciółmi, bo z wrogami sami sobie poradzimy.

Najlepiej jednak byłoby, gdyby przedstawiony problem od początku do końca okazał się wyssany z palca i żadnych burmistrzów (prezydentów miast), byłych prezesów spółdzielni mieszkaniowych nie było.

Henryk Nicpoń